



## POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ  
JERZY SWOBODA.

(Ciąg dalszy).

— Wiesz nowinę?... Olga zapisała się na uniwersytet już od kilku dni...

— Zapisała się?! — zdziwił się — i ani słowa tobie nie powiedziała?

— Może przed godziną uwiadomiła mnie tonem najzupełniej obojętnym, że idzie na wykłady... i może spóźni się na kolację... Słyszysz?

— No, no — bąknął w zamyśleniu i wszedł do jadalnego pokoju, a tuż za nim żona.

Usiadł przy stole, nakrytym do kawy poobiedniej i zwracając się do żony, rzekł:

— Każ podać!

Po chwili służąca wniosła imbryki, garnuszki ze śmietanką.

Śmiał jakiś czas jadł i pił w milczeniu, aż zniecierpliwiona żona spytała:

— Janku, cóż ty na to?

— Hm... o Oldze?... alboż ja wiem? Aleksander, wyjeżdżając, zapowiedział nam w tym pokoju, że wybór profesorów, nauki, zajęć, zostawia jej woli i chęci. Ona wybiera uniwersytet... i miała prawo do tego... cóż my na to poradzimy?

— Ależ w uniwersytecie spotka się, Bóg wie, z jakimi ludźmi, zaczną się znowu przyjaźnie, chodzenia, wycieczki... i kto wie, do czego przyjdzie może...

— Hm... to napiszę chyba do Aleksandra.

— Dziś jeszcze, bardzo cię proszę. Jeśli ona ma chodzić na uniwersytet, ja zrzekam się wszelkiej odpowiedzialności... to nad moje siły... nad moją możliwość...

— No, znów tak dalece...

— Ty tego nie rozumiesz — zawołała, podrażniona jego obojętnością — boś ty mężczyzna... Ale ja, jako kobieta, wiem, co znaczy oddać córkę pomiędzy gromadę chłopaków, którym tylko miłości w głowie. I chociaż nie przypuszczam nic złego o Oldze, ale w takim towarzystwie, po spożyciu się z młodzieżą, już ona straci tę wrażliwość niewinnej panienki, zordynarnieje w ruchach, w sposobie wyrażania się, zaniedba elegancji i taktu, właściwego pannie dobrze wychowanej.

— Trochę za daleko posuwasz swój pesymizm... Olga wychowana jest w zasadach moralnych, jest dobra, uważna, rozumie, co winna ojcu...

— I tak dalej i tak dalej — zaśmiała się nerwowo — skądże ty znasz ją tak dobrze? Ja przecież częściej z nią przebywam i widuję ją od dwóch tygodni kilka razy na dzień, a tyle znam ją dzisiaj, co pierwszego dnia przyjazdu. Grzeczna, uprzejma, ale daleka od zwierzeń, czułości, zaufania.

— Zauważ, że ona wychowana niemal bez matki, która odumarała ją w dzieciństwie prawie, ale jak ciebie bliżej pozna, przyjdzie zaufanie, bo grunt, to zasady.

— Nie dałabym za nie i grosza — przemówiła z goryczą — nigdy nie widziałam jeszcze, aby się modliła, niema książki do nabożeństwa... a gdy

jej zaproponowała pójście na mszę, wymówiła się bólem głowy. I co może być z dziewczyny, która nie posiada religii! Gdzie hamulec? Gdzie obawa grzechu?... Te pieniądze, które za nią bierzemy, są mi kością w gardle, gdyż nie widzę sposobu spełnienia sumiennie tego, do czego się zobowiązałam.

— Przesada! — skrzywił się — napiszę do Aleksandra o tym uniwersytecie, a jeśli i on się zgodzi, nie może mieć pretensji do nas.

Po dobrej chwili milczenia przemówiła żona tonem łagodnym:

— Mój Janku... a gdybyś ty przekonał się oświadczyć, jak długo trwają wykłady... czy ona istotnie chodzi?

— O, co to, to nie! — obruszył się — masz zresztą Mundzia, posyłaj go, niech śledzi — uśmiechnął się ironicznie — i skąd takie podejrzenia!? Wierz mi, że jeśli tylko Olga zechce, wyprowadzi nas zawsze w pole... a zresztą, co nam przyjdzie z tego, gdy się dowiemy, że nie była na wykładzie?!

— Zrozumie, że jej pilnujemy, że dbamy o nią... że są pewne granice jej samowoli. Zrób to, Janku, dla mnie, dla mego spokoju — prosiła tonem serdecznym.

— Już jeśli chcesz koniecznie, niech i tak będzie — westchnął.

— Dziękuję ci.

Wtem odezwał się dzwonek w przedpokoju i za chwilę wszedł z pośpiechem Edmund, mówiąc z progu:

— Dziś prawdopodobnie nie będę wieczorem w domu... wpadłem na chwilę po pewne papiery.

— Nie będziesz? — zawołała matka — coś za często spędzasz wieczory poza domem.

— Jestem zajęty — mruknął.

— Napij się przynajmniej kawy, bo będziesz głodny.

Spojrzał na wiszący zegar, wskazujący piątą za dziesięć minut.

— Nie mogę, mam — i zamierzał iść do swego pokoju, gdy go powstrzymało zapytanie ojca:

— Czy wiesz, że Olga zapisała się na uniwersytet?

— Wiem... na wydział przyrodniczy.

— Dlaczegoż nie powiedziałeś mi o tem? — skarżyła się matka.

— Sądziłem, że sama uwiadomiła mamę o swych projektach.

— Mundziu, czy ona teraz ma wykłady?

— Teraz?... Tego nie wiem, ale z wszelką pewnością jest na zgromadzeniu „Zjednoczenia“.

— Cóż to za „Zjednoczenie“?

— Towarzystwo studentów uniwersytetu, a dziś rozstrzygają się ważne sprawy. O, już na mnie czas — spojrzał na zegar i szybko poszedł do swego pokoju.

— Teraz wiesz już, gdzie Olga — uśmiechnął się mąż — i zwolnisz mnie z przyrzeczenia.

— Na dziś, tak.

Edmund, wyszedłszy z domu, pospieszał do lokalu towarzystwa „Zjednoczenie“, gdyż umówił się z Olgą, że wprowadzi ją na posiedzenie i ułatwi formalności wpisu na członka towarzystwa.

W dość obszernej sali, obstawionej pod ścianami szafami bibliotecznymi, za stołem dla przewodniczącego i sekretarza, zebrało się dość liczne, bo do stu osób liczące zebranie studentów uniwersytetu, które w chwili wejścia Edmunda podzielone na grupy dowolne, prowadziło półgłośnie rozmowy.

Trochę na uboczu siedziały i stały koleżanki, porozumiewały się niemal szeptem ze sobą i słuchały dość obojętnie kolegów.

Pomiędzy niemi dostrzegł Edmund Olgę, a zbliżwszy się, rzekł:

— Trochę się spóźniłem... Czy zapisałaś się już na członka?

— Tak jest, ułatwiła mi koleżanka Borwiczówna — wskazała na obok siedzącą ciemną szatynkę.

— A, z koleżanką znamy się dość dawno — uśmiechnął się Edmund, podając rękę — dziękuję za okazaną pomoc.

— Nie dla kolegi to zrobiłam — powiedziała tonem dość szorstkim, lecz z pogodną twarzą i zwracając się do Olgi — widzicie tego wysokiego szatyna, chmurnego... teraz podaje rękę... to Cypriański... dobry mówca.

— Kiedyż się zacznie?

— Za chwilę — odpowiedział Edmund — już przyszedł przewodniczący.

— Któryż to?

— Ten z pełną brodą... który wita się z każdym w przechodzie.

— Czy on zawsze taki uśmiechnięty?

— Nie znacie się, koleżanko, na polityce — zaśmiała się Helena — przewodniczący musi zaskarbiać sobie łaski... chociażby przyjemnym uśmiechem, a on wie, że ma miły uśmiech.

— O, jest i Żalecki — zawołał Edmund — coś zbyt spokojny.

— Gdzie on? — spytała Olga.

— Ten blondyn, ze zmierzwionymi włosami jak strzecha — objaśniła Helena — przeciwnik Cypriańskiego... ukłonili się sobie zdaleka... coś będzie...

— Podobno Cypriański wystąpi z oskarżeniem Żaleckiego — szepnął Edmund.

Do siedzących zbliżył się wysoki, szczupły człowiek, z twarzą bladą, ascetyczną, z włosami krótko przyciętymi i podając rękę Helenie i Edmundowi, mówił melodyjnym głosem:

— Jak się macie... jutro przyniosę wam Luysa, warto przeczytać — zwrócił się do Heleny.

— Dziękuję... dawno was nie widziałam — powiedziała tonem szacunku.

— Gorączka trzymała mnie w domu, ale zmogłem się dzisiaj... bo podobno szykuje się burza.

— Bo też Cypriański jest za despotyczny — wmieszał się Edmund.

— Już czekacie z uprzedzeniem — uśmiechnął się — wpiersz wysłuchajcie.

— Bardzo słusznie — zauważyła Olga.

Spojrzał na nią badawczo, a Helena pospieszyła:

— Nowa nasza koleżanka, Wojtyrska, z Rosji... kolega Zbrojski.

Podali sobie ręce, i on po chwili:

— Wy na jaki wydział?